

Veronika Dintinjana

Alfabet znaków
The Alphabet of Signs
Abeceda znamenj

Ze słoweńskiego przełożyła
Joanna Pomorska

Translated from the Slovenian
by the author with Rose Aasen, E. Underhill
and Ciaran O'Driscoll



VERSOPOLIS

Alfabet znaków
The Alphabet of Signs
Abeceda znamenj

Veronika Dintinjana

Alfabet znaków
The Alphabet of Signs
Abeceda znamenj

Ze słoweńskiego przełożyła
Joanna Pomorska

Translated from the Slovenian
by the author with Rose Aasen, E. Underhill
and Ciaran O'Driscoll

Instytut Kultury Miejskiej
Gdańsk 2016

Lwy na fasadzie katedry

Trzeciorzędny marmur strawiły deszcz,
mróz i spiekota;
podobne są
do grzbietów fal, na chwilę
przybierają kształt
i od razu zamieniają się
w pianę.
Uśmiechają się.
Może wiedzą, że topnieją.

Św. Franciszek

rośnij w niebo
aż staniesz się drzewem

pełen przebranego deszczu i spróchniałej ziemi

co może zrobić ci wiatr
kiedy okryjesz się kwiatami?

niepowtarzalność jest twoim berłem

nie złoto i nie srebro
dały swoje ciała
na stół, na łóżko

a kiedy ptaki usną w twojej koronie
nie poruszy się już

alfabet znaków zastępuje milczenie

Pomarańcza rozkwitła przed domem

Wysłuchuję się w nieobecność wiatru pośród liści
i wyludnione popołudnie.

Z powodu trzech rzeczy zostawiam okiennice przymknięte,
z powodu czterech zamykam drzwi.

Z powodu księżycy, który rozżarzony skwierczy, gdy kowal
zanurza go w wiadrze.

Z powodu poranka, który blednie, gdy w twarz spojrzysz mu
słońce.

Z powodu dnia, który pąsowieje w noc, i z powodu progów,
zamiast stóp wyszlifują go kwiaty.

Trzech się unosi do nieba.
Czterech odeszło bez najmniejszego hałasu.

Przepalił się drucik w żarówce,
z głowy uciekł mi przerwany wers.
Przez przymknięte okno wkradł się chłód,
a za stołem znalazła sobie miejsce kolacja.

Czterech rzeczy nie mogę zrozumieć,
trzech zapomnieć.

Obłego kamienia na brzegu, gdy byłem dzieckiem, nauczył mnie
rozdzielić lewe i prawe kolano, lewą i prawą stronę drogi.
Bólu, który ogarniał mnie całą i przemijał chwilę później.
Przyjaznego morza, co noc śnię o nim, czeka na mnie pod
drzwiami.

Za dnia wysyła mewy i innych posłów po odpowiedź.

I drzewa, które zachodzi nad światem.
Nie można dostrzec, kto się wokół kogo obraca.

Według długości cienia określamy kierunki nieba.
Według długości kroków – która jest godzina nocy.

Spacer po Lipicy nocą

Szeptę: *Herr, es ist Zeit.*

Klon odpowiada szelestem, piasek chrzęści pod krokami.
Noc, lekko pochmurna, na zachodzie resztki zorzy,
odblask spalin, mgiełka,
parskanie w stajni, koń w boksie przestępuje z nogi na nogę,
kiedy pierdnie, echo niesie się wśród nocy,
hotel stoi na wpół pusty, goście śpią,
konie śpią, stojąc. Kilka z nich czuwa,
mówię szeptem, żeby się nie przestraszyły nieznanymi kroków,
czas się zatrzymał, godziny zlepily się w noc
bez blasku księżyca, latarni, nieco światła
dociera z hotelu, zbyt mało, spojrzenie musi przebić mrok,
oko się przyzwyczaja, ciało słucha. Pośród cieni
białe konie, najjaśniejsze ciała oprócz gwiazd.
Czuć chłód, woń końskiego gnoju,
jesień po lecie. Bluszcz żeruje na klonie,
sosny przecierają drogę dębowi, dąb wypiera sosny,
życie pożera życie, tak musi być:

rozumieć następstwo przejść,
swoje miejsce w nim, to przekracza możliwości człowieka.

Nastawienie serca to wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić.

Świat nabiera kształtów w otworach ciała,
pod dachem powiek użyczam noclegu strażnikom
nieprzezwycięzalnych minut.

Biały koń w boksie odwraca łeb w moją stronę,

oparta o pień kasztana pozostaję
tak całą wieczność. Chmura nad nami
rozsypuje zarodniki spokoju. Nawet samotność nie wydaje się
już nieunikniona, smutek opada, przejście jest otwarte,
przelewa się przez nie coś trwalszego niż słowa.

Blisko bramy miejskiej

Tamta druga Weronika wychodzi z domu
z sakiewką pełną sesterców.

Poranek będzie piękny, niebo bez chmurki,
kupiec zaoferuje jej błękitno-niebieską sztukę jedwabiu
i wełnę po obniżonej cenie.

Zamienią kilka słów o pogodzie.
Że długo już nie padał deszcz
i Cedron jest teraz tylko mętną strużką,
która ciurka w wyschłym korycie. Że
coraz mniej jest ryb z Galilei. I sól
coraz droższa.

Weźmie wełnę,
lato będzie suche, pasza marna
i chłody następnej zimy.
Trochę szaławii i chrzan, do mięsa.
Miarękę migdałów,
olej na święto. I płótno.

Środki bezpieczeństwa będą zaostrzone. Na każdym rogu
żołnierz, punkt kontrolny na każdym placu.

Przy bramie miejskiej strażnicy
wezmą w ręce, przejrzą wszystko
oprócz płótna.

Len, wzmocniony konopiami
i wybielony w wyciągu z korzonków mydlnicy.

Podwójna szerokość, drobno tkany, nie na obrus,
ale na dwie wykwintne koszule.

Weźmie tkaninę i zrobi z nią to,
co wyda się jej właściwe.

Kiedy wnuki zapytają ją, jak było,
będzie pamiętała wszystko, nawet cenę za metr materiału

i zapach wiosny.

żółto płonie krzak forsycji
pszczoły buszują w kwiatach fasoli
światło popołudnia sączy się jak miód
przylepiony do ogrodowej ławeczki
stwórca okadza niebo
i podziwia
kwiatostany dzikich kasztanów

Ludzie, wzięci z obrazów Breughla,
spokojnie kupowali żywność, przepychali się w kolejce
i podpisywali wydruki z kart bankowych.
Dowiedziałam się po dwóch dniach,
kiedy przypadkiem surfowałam po necie,
przez moment pomyślałam o tobie,
bo Miłosz był dla ciebie kimś ważnym
i miałaś okazję go poznać.
Potem zaczęło mi się śpieszyć
i już nie myślałam o tym,
aż do chwili, gdy
jakieś dwa tygodnie później,
siedziałyśmy na kanapie, a ja mimochodem powiedziałam:
„Wiesz, że umarł?”
Kiwnęłaś głową: „Odszedł wczesnym przedpołudniem”.
„Miał rację. Poranki są najlepsze,
gdy przed sobą ma się długą drogę”.
Książka, którą mi kupiłaś,
była jego ostatnią.
Pełna światła, drobnych wierszy,
tak przejrzystych i prostych.
Jakby już wcześniej przygotował
wszystko, przewietrzył pokój, otworzył okiennice
i zostawił drzwi na balkon uchylone dla kotów.

Concierto de Aranjuez

*Było lato otulone zimowym płaszczem deszczu.
Była jesień dojrzałych fig i niebieskiej suszy.*

Białe kamienie strzegły śpiących studni,
czarne i słodkie jeżyny skryły się w niszach
suchych liści, powleczonej cienką warstwą pyłu i soli,
nagie zbocza porośły srebrnymi kępkami
szaławii, oliwki wyrastały po stronie zachodniej,
a skały pod stałym naporem bory po wschodniej,
i były jak martwa, biała powierzchnia księżycy, o ostrych
krawędziach
bez osłony przed słońcem.

W upale południa czas płynie
jedynie po żyłach cieni, nasycony bezruchem
żywych stworzeń i powietrza, ziemi i słońca. Nic
nie może się zmienić, mówiły zmysły,
ale nie wierzyłam.

Z uczuciem, że przypominam sobie
teraźniejszość, kiedy jeszcze trwa, że jestem jak glina,
jak papier, nośnik zmian,
posłaniec i wiadomość zarazem. Moje DNA,
komórki pamięci w mózgu,
ich wzajemne reakcje. Wiadomość,
która ulega samozniszczeniu, gdy się jej wysłuchuje
do końca.

Węże na gorących kamieniach nie są niebezpieczne.
Niebezpieczny jest tylko strach, nieoczekiwany

pośpiech odwrotu. I zbyt dużo słońca.

Jeśli nie wrócę, oliwki i trawy,
jeżyny, kępki szafwii i węże
będą takie same, niezmienione.

Jeśli wrócę, też będą takie same,
tylko ja nie będę taka sama, a między nami pozostaną
niewyrażone słowami wspomnienia smaków i woni.
Wszystko, co się uda rozpoznać,
będzie powodem do nowego szczęścia. Nie zmieniło się,
przynajmniej to się nie zmieniło, w swej istocie pozostało
takie samo, bo rozpoznaję te liście,
bo rozpoznaję intensywny zapach ziół,
bo morze jest jeszcze słone, a kamień
biały i szorstki.

Nie to samo, takie samo. A jeśli nie,
taki sam jest przynajmniej ślad
zmian, zapis, że czas był
także tu, że się zatrzymał między nami
i zrobił przerwę w swoim pisaniu.

--

Położyłam się na ziemi, była chłodna,
spokojna, nieruchoma, zamknęłam oczy i czekałam,
by się zarazić jej mądrością, przestać,
kiedy jest czas, ulec. Zamknęłam oczy.
Uciszyłam myśli. Tylko uszy
pozostały przy ziemi. Odgłosy pustego pola
i mój oddech. Potem nagły dźwięk,
jakby wiatr poruszył liście w koronach,

jakby korony znów były pełne i znów było lato.
Otworzyłam oczy. Nade mną stado wędrownych ptaków,
słyszałam ruchy skrzydeł w locie.
Nieoczekiwany dźwięk odejścia i zmian
obnażył mnie. Wstałam
bez pośpiechu, jakby dłonie skrzydeł pozwoliły mi
zobaczyć, koło mnie, niespodziewanie, przejście.

Ćwiczenie z automatycznego oddychania

znów piszę
w południe, nocą, rano
ćwiczenie z automatycznego pisania
nizanie myśli i metafor
bez odpowiedzialności
bez ambicji trwać

wiersze bez wisielców
bez zmarłych krewnych
bez wonnej skóry kochanków
kwiatów i krzewów
ograbione
i puste

nieudana próba ożywiania
papier nie trzaska pod dłońmi
jak żebra i mostek
książki po śmierci nie zaczną śmierdzieć
zbiera się na nich tylko kurz i plamy
po kawie lub herbacie

nikt nie jest niezastąpiony
nocą śnię, rano objawia mi się
znaczenie: trik nie tkwi w wyjątkowości, jest prościej:
być niezastąpionym dla kogoś –
nie musi być Toskania, nie musi być lato
nawet nie musi trwać

to jest najtrudniejsze, dlatego ćwiczę
każdy oddech raz za razem

Wróbel, przez szpitalne okno

Widziałem śmierć,
jak przysiadła na łóżku i zdjęła kapcie.
Gdy się położyła, ciśnienie mu spadło,
twarz pobladła.
Oczy przestraszone.
Wyleciałem na dwór. Skoro nie miałem
udziału w jego życiu,
tylko to należało zrobić, by nie brać udziału
w jego śmierci.
Pół godziny później wróciłem
po okruszki chleba,
które zostały z obiadu.

Απολογία

Statki, załadowane do ostatniego noża,
czekają. Każdy dzień zwłoki
kosztuje majątek, najemni mordercy
tracą cierpliwość, trzęsą się im ręce,
gdy obok nich przechodzą niepoderżnięte gardła
spokojnych mieszczan. Ministrowie drżą na myśl,
że cała sprawa obróci się przeciwko nim,
choć plany są dobre, nakreślone
do ostatniego kawałka słoniny, dokładnie.

Nic straszniejszego się nie dzieje: rano
zamiast wiatru wschodzi słońce.

Wisi na niebie, jak kłoda w jarze,
i nigdzie siekiery. Tylko napięty sznur się nie zrywa.
Słońce siedzi na skroniach,
korona coraz mocniej ściska czaszkę.
Jedno życie, to wszystko, co ma władca.

Wybacz, córko, ale potrzebujemy wiatru,
i to bezzwłocznie.

Musei Capitolini

Lecąc do domu, siedzę przy oknie,
po drugiej stronie przejścia ojciec i syn,
ojciec młody, może koło trzydziestki, ciemnowłosy, przystojny,
syn ma sześć albo siedem lat,
identyczne włosy, okrągłjsza twarz;
bawią się, tata łaskocze go, całuje
po twarzy, szyi, ramionach i rękach,
chłopczyk śmieje się i ze śmiechem
oddaje mu pocałunki: „Contrattacco, babbo”.
Ojciec głaszcze go po brzuchu – czułość,
jaką mogą sobie okazywać tylko ojciec i syn,
o tej czułości nawet kobiety nic nie wiedzą.
Są tacy piękni
jak rzeźby w Muzeach Kapitołińskich,
wykopane z ogrodów rzymskiej willi,
gładkie i świetliste, aż chce się ich dotknąć,
bogowie, nimfy, zwierzęta,
doskonale w swoim świecie,
NON TOCCARE! – ostrzega kobieta pilnująca eksponatów,
dotykane niszczy i brudzi to,
co musi trwać.
Czy rzeźby można otaczać taką czułością?
Rękę ojca, którego nie ma
w świątyni Jowisza
albo ponad chmurami,
czas się tu zatrzymał
(ja i książka, która mówi, że poezja
nie miała najmniejszej możliwości
pozostać poza historią).
Rysy w kamieniu,

które dostrzega tylko czujne oko.
Coś we mnie, co się nie może pogodzić
z przeszłością, wdzięk, który rani, tak samo
jak otaczające go powietrze,
i wzbrania dotyku,
muzeum szczątków i fragmentów,
relief ojca, który całuje syna.

Saskia

Namalować tę kobietę, żonę,
jej miękką skórę, jej zapach,
zanim się umyje po ciężkim dniu,
jak bije ze wszystkich zgięć,
kiedy lepią się do siebie części ciała.
Sposób, w jaki spina włosy,
jak wymyka się jej czasem kosmyk, jak
się uśmiecha. Jak trzęsą się
jej piersi, gdy się śmieje, jak w miłości i jak po.
Jak we śnie nie czuje, że szkicujesz jej kształty
odciśnięte w poduszkach, jej zmarszczki, wszystkie chwile
małego życia skupione
w przelotnym pocałunku smugi światła ze skórą.
Ślady donoszonych dzieci na jej brzuchu,
ślady niedonoszonych i przedwcześnie wziętych do Boga
w kącikach jej ust i oczu,
w ostrych rysach, w nieobecnym wyrazie twarzy
tuż nad ranem albo gdy znów kończy się dzień
i smutek jest jak nieprzebity, zimny błysk stali.
Malować to, co jest przed tobą, także ją,
która cię nie porzuciła, jeszcze. Dopóki śmierć was nie rozłączy.
Rozumiesz, co trzeba robić? Tym, co masz,
nagą, wulgarną deskryptywnością,
chwal swoją żonę, chwal zręczność swoich rąk
i światło. Chwal też ciemność i cienie,
z ich przyczyny płótno staje się obrazem.
Z ich przyczyny czas staje się życiem.
Każda godzina i ruch pędzla są jedynie użyte,
należą do pana światła i cienia,
rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

To dobrze, że o każdej porze dnia
bez ociągania bierzesz ołówki do ręki
i siatką linii rosnących na papierze
świadczysz o świetle po tamtej stronie czasu,
o kształtach po tej stronie cieni.

VERONIKA DINTINJANA

Urodziła się w 1977 r. Publikowała w czasopismach: „Stony Thursday”, „Banipal”, „Mentor”, „Literatura”, „Sodobnost”, „Nova revija”, „Dialogi”, „Poetikon”, „Lirikon” i „Apokalipsa”. W 2008 r. zwyciężyła w Turnieju Poetyckim w Mariborze i VI edycji poetyckiego slamu w Lublanie. Za swój pierwszy tomik *Rumeno gori grm forzicij* (Żółto płonie krzak forsycji, 2008) otrzymała nagrodę za Najlepszą Książkę Roku na 24. Słoweńskich Targach Książki. Dintinjana była gościem wielu festiwali, takich jak: Vilenica, Dni Poezji i Wina (oba w Słowenii), Wieczory Poetyckie w Strudze (Macedonia), Dni i Noce Literatury „Neptun” (Rumunia), Festiwal Poetycki w Trieście (Włochy), Międzynarodowy Festiwal Poezji Cuisse w Limericku (Irlandia), PontePoética i Poetas di(n) versos w Galicji (Hiszpania) oraz Marché de la Poésie (Francja). Jej utwory tłumaczono na niemiecki, włoski, francuski, chorwacki, serbski, galisyjski, niderlandzki i angielski. Przekładała wiersze Louise Glück, Denise Levertov i Ciarana O’Driscolla oraz eseje Ursuli K. Le Guin. Jako tłumaczka interesuje się dwudziestowieczną i najnowszą poezją północnoamerykańską i irlandzką. Jest założycielką Towarzystwa Sztuk i Literatury Kentaver, organizuje także festiwal Mlade rime, odbywający się w Lublanie. Drugim powołaniem Dintinjany jest medycyna.

Joanna POMORSKA

Absolwentka slawistyki Uniwersytetu Warszawskiego i studiów podyplomowych Uniwersytetu w Lublanie. Tłumaczka z języka słoweńskiego. Długoletnia redaktorka w dziale encyklopedii Wydawnictwa Naukowego PWN, następnie w Wydawnictwie DiG i Slawistycznym Ośrodku Wydawniczym przy Instytucie Slawistyki PAN. Tłumaczy głównie literaturę piękną: prozę i dramat. Jest autorką przekładów najwybitniejszego współczesnego pisarza słoweńskiego Draga Jančara. Publikuje też przekłady wielu

utworów słoweńskich (i własne teksty krytyczno-publicystyczne) m.in. w czasopiśmie: „Literatura na Świecie”, „Dialog”, „Gazeta Wyborcza”, „Zeszyty Literackie”, „Krytyka”, „Res Publica”, „Res Publica Nowa”, „Ex Libris”, „Arka”, „Przegląd Polityczny”, „Czas Kultury”, „Fa-art”, „Dekada Literacka”, „Kresy”, „Krasno-gruda”, „Europa”, „Twórczość”, „Herito”. W 1987 r. otrzymała wyróżnienie „Literatury na Świecie” za samodzielną prezentację literatury słoweńskiej na łamach tego pisma.

Veronika Dintinjana

The Alphabet of Signs

Translated from the Slovenian
by the author with Rose Aasen, E. Underhill
and Ciaran O’Driscoll

Cathedral Lions

Rain, cold and heat have corroded
the low-grade marble; they're like
the crest of a wave, for an instant
take form
and already
dissolve into foam.

They smile.
Perhaps they know they are disappearing.

Translated by the author with Rose Aase

St. Francis

grow into the sky
until you become a tree

full of select rain and light soil

what can the wind do
when you dress up in blossoms

singularity is your scepter

neither silver nor gold
have given their body
for a table, a bed

and when birds in your crown fall asleep
you stir no more

silence replaces the alphabet of signs

Translated by the author and E. Underhill

The Orange Tree in Front of the House Is in the Zenith

I listen to the absence of wind in the branches
and to the unpeopled afternoon.

For three things I have left the window shutters open,
for four I close the door.

For the glowing moon which hisses when the blacksmith sinks
it in water,
for the morning which turns pale when the sun peers in its face.
For the day which blushes into night, and for the threshold –
there will no longer be feet to shine it, only petals.

Three ascend towards the heavens,
four have left without a slightest sound.

The filament blew in the light bulb,
a distracted line has vanished from my head.
Through a half-open window the cold came in,
and supper found its place at the table.

Four things I cannot comprehend,
three I cannot forget.

The round stone on the beach which taught me as a child
to tell my right knee from my left, one side of the road from
the other.

The all-encompassing pain that left me a moment later.
The kindly sea I dream of every night, that waits for me
at the door,
and by day sends seagulls and other messengers for an answer.

And the tree which is setting over the world.
You cannot tell which revolves and which is still.

By the shadow's length we set the sky's directions.
By the pace's length we know the time of night.

Translated by the author and Ciaran O'Driscoll

Walking in Lipica at Night

I whisper *Herr, es ist Zeit*.

The maple answers with a susurrus, gravel crunches under foot.
The night, partly cloudy; in the west, remains of the sunset,
the glow of exhaust fumes, mist,
snorting in the stables, the horse in the enclosure steps sideways,
farts, which echoes in the night,
the hotel is half empty, the guests asleep,
the horses sleep standing up. Some are awake,
I whisper so they are not frightened by unknown footsteps,
time has stopped, the hours have amalgamated into night
with no moon, lamps; some light
comes from the hotel, not enough, the gaze has to pierce
the dark,

the eye adjusts, the body listens. Among shadows
the white horses, brightest bodies apart from the stars.
You can feel the chill, smell the horse dung,
the autumn after summer. Ivy feeds on maple,
pines make way for oak, the oak ousts the pine,
life devours life, it is as it should be:

to understand the sequence of changes,
your place in them, transcends the human part.

Direction of the heart is all that we possess.

The world takes shape in the body's orifices,
under the roof of my eyelids I shelter
doorkeepers of unsuspected minutes.

A white horse in the enclosure turns to me,
leaning against the trunk of the chestnut tree I remain
endlessly like this. The cloud above us
scatters spores of tranquility. Not even solitude
seems inevitable, sadness falls off, the passage is open,
something more enduring than words runs through it.

Translated by the author and E. Underhill.

Near the City Gate

The other Veronica will have left home
with a purseful of sestertii.

Morning will be fine, the sky cloudless.
The merchant will offer her a length of azure silk
and wool at a discount.

They will exchange a few words about the weather,
that it has not rained for a long time
and how the Cedron now is only a turbid scrap of water
that crawls down the dry riverbed. How
there are less fish from the Galilee
and the cost of salt has gone up.

She will take the wool.
Summer will be dry, the pasture poor,
and the following winter harsh.
Some sage, horseradish to go with the meat.
A basket of almonds,
oil for the feast. And linen.

Security will be tight. A soldier
on every corner, a checkpoint in every square.

At the city gate, the guards
will examine everything
except the linen.

Flax strengthened with hemp
and washed white with soapweed.

Double-width, finely woven, not for a shroud
but for two fair shirts.

She will take the fabric and do with it
as she sees fit.

When her grandchildren ask her what it was like,
she will remember everything, even the price of linen

and the smell of spring.

Translated by Mia Dintinjana

yellow burns forsythia bush,
bees buzz around flowering beans,
afternoon light trickles, honeylike
glued to a garden bench
the creator smokes the sky
and admires
blossoming wild chestnuts

Translated by the author

As in Bruegel's paintings, people
were peacefully buying groceries, jostling one another
in the queue

and signing purchase slips.
I learned two days later,
browsing the web,
I thought of you for a second
because Miłosz means a lot to you
and you had the chance to meet him.
Then I was pressed for time
and it didn't cross my mind again,
until we were sitting on the sofa
some two weeks later and I mentioned it in passing:
"You know he died?"
You nodded, "He left early in the day.
He was right. Mornings are best
for the long road before you."
The book you had bought me
was his last.
Full of brightness, tiny poems
so luminous and simple.
As if he had readied everything,
aired the room, opened the window shutters
and left the balcony open for the cats.

Translated by Mia Dintinjana

Concierto de Aranjuez

*It was summer, wrapped in a wintry coat of rain.
It was an autumn of ripe figs and blue draught.*

White stones guarded the sleeping wells,
brambles, sweet and black, hid in the niches
of dry leaves covered with a thin layer of dust and salt,
bare slopes were overgrown with silver
sage, olive trees kept to the westerly side
and the rocks, exposed to incessant assaults of gales,
to the easterly
unliving white moon-like surface, sharp-edged,
unsheltered from the sun.

In noon heat, time flows
only through the veins of shadows sated with the immobility
of living creatures and of air, earth and sun. Nothing
can change, the senses were telling me,
but I was not swayed.

Feeling that I remember
the present while it lasts, that I am clay,
paper, the medium of change,
the messenger and the message. My DNA,
memory cells in the brain,
connections between them. A message
that self-destructs when listened
to the end.

Grass snakes on hot stones are not dangerous.
Fear is dangerous, and the imprudent

haste of retreat. And too much sun.

If I do not return, the olive trees and grasses,
bramble, sage and snakes will
remain the same, unchanged.

If I return, they will also be the same,
only I shall not be and between us there will be
recollections of tastes and smells unexpressed in words.
Every successful recognition will be
cause for new happiness. This has not changed,
at least this has not changed, at the core
it remains the same, for I recognize these leaves,
I recognize the strong fragrance of herbs,
for the sea is still salty and the stone still
white and rough.

Not the same, equal. And if not,
at least the trace of change is
equal, testimony that time was
here, too, that it had stood still among us
and made a break in its script —

I lay down on the earth, it was cold,
calm, still, I shut my eyes and waited
to take in her wisdom, to stop
when it was still time, to let go. I shut my eyes,
brought down the volume of my thoughts. Only my ears
remained grounded. Sounds of a vacant field
and my breathing. Then, a sudden sound,
like wind shifting leaves in the trees,
as if the canopies were full and it was summer again.

I looked. Above me, a flock of migrating birds.
I heard the movement of their wings in flight.
The unexpected sound of departure and changes
bared me. I rose
slowly, the palms of their wings giving me
to see, suddenly, by my side, a passage.

Translated by the author and E. Underhill

Exercise in Automatic Breathing

again I write,
morning, noon, night,
exercise automatic writing
a series of thoughts and metaphors
without responsibility
without ambition to last

poems without hanged men
without the dead relatives
without the scented skins of lovers,
flowers and bushes,
bereft
and empty

a failed attempt at resuscitation
paper doesn't crack under one's palms
like ribs or breastbone
books do not start to smell after death
they are only covered by dust and stains
from coffee or tea

no one is irreplaceable
at night I dream, in the morning the meaning is revealed
to me: the trick is not in being exceptional, it is much simpler:
being irreplaceable for somebody –
it does not have to be Tuscany, it does not have to be summer,
it does not even have to last

this is the hardest, so I exercise
one breath at a time

Translated by the author and E. Underhill

Sparrow, Through a Hospital Window

I saw death
sit down beside him on the bed and take off her slippers.
His blood pressure dropped,
his face paled, as she lay down.
His eyes were frightened.
I flew out. As I did not
have a share in his life,
it was only right not to have a part
in his dying.
Half an hour later I returned
to pick up the bread crumbs
left over from lunch.

Translated by the author with Ciaran O'Driscoll and Rose Aasen

Απολογία

Ships, loaded to the last blade, wait. Each day
of postponement is costing a fortune.
My myrmidons grow impatient, their hands
begin to shake when the unsevered heads
of peace-loving citizens pass them by.
My ministers tremble to think that heaven
might turn against them, though the plans are good,
measured down to the last side of bacon.

Nothing is more terrible: every dawn
the sun rises instead of wind and stays suspended in the sky,
a log tied on a slope. Its taut rope holds as if we lacked for
blades.

The sun sits on my temples. This crown torques my skull.

One life is all a prince has. Daughter, I pray
you'll forgive me: we need wind without delay.

Translated by the author and Ciaran O'Driscoll

Musei Capitolini

On the flight home I have the window seat.
Across the aisle, father and son.
A young father, perhaps thirty years old, dark-haired,
handsome,
the son six or seven years of age,
the same hair, fuller cheeks;
they play, Daddy tickles him, kisses
his cheeks, neck, shoulders and arms,
the boy laughs, laughingly
kissing him back: »Contrattacco, babbo!«
The father caresses his tummy – such tenderness
only a father and a son can share,
a tenderness even women know nothing of.
They are beautiful,
as statues in the Capitol museums
dug out from the garden of a Roman villa,
so resplendent, you want to touch them,
gods, nymphs, animals,
perfect in their own world.
NON TOCCARE! warns the museum guard,
the human touch sullies and destroys
what must last.
Is it possible to feel such tenderness for statues?
The hand of a father
not in Jupiter's temple
or above the clouds,
the time here has come to a standstill
(myself, and the book that says poetry
never stood a chance of standing
outside history).

Cracks in the stone,
visible only to the attentive eye.
Something within me that cannot be at peace
with the past, a gracefulness that wounds, as does
the air that surrounds it, preventing any touch,
a museum of wrecks and remains,
a relief of a father kissing a son.

Translated by the author and E. Underhill

Saskia

To paint this woman, wife,
her soft skin, her smell
before she washes after a hard day,
how it rises from the folds
where parts of the body stick together.
The way she puts up her hair,
how every now and then a lock of hair escapes her, how
she smiles. How her breasts tremble
in laughter, in love, and after it. How,
asleep, she does not suspect that you are sketching her imprints
in the pillows, her wrinkles, all the moments
of a small life compressed
into a fleeting kiss of sunbeams on the skin.
The marks of children she had borne on her belly,
the marks of those miscarried or taken by God before their
time,
in the corners of her eyes and mouth,
in the sharpness, the distant expression of her features
shortly before dawn or when the day winds down again
and sadness takes on the impenetrable, cold lustre of steel.
To paint what is there in front of you, her as well,
who has not left you, yet. Till death do you part.
Do you understand what it takes? Through this,
through bare vulgar description
praise your wife, praise the skill of your hands,
and the light. Praise also the dark and shadows,
for they make the canvas become a painting.
For they shape Time into a life.
Every hour and brushstroke are borrowed
from the Master of light and shadow,

things visible and invisible.

It is fitting that at every hour of the day,
without hesitation, you take the pencil in your hand
and with a web of lines growing on the paper
testify to the light beyond time,
to the images on this, the shadow side.

Translated by Mia Dintinjana

VERONIKA DINTINJANA

Best young author in Slovenia in 2002, she has since had her poems published in *Stony Thursday*, *Banipal*, *Mentor*, *Literatura*, *Sodobnost*, *Nova revija*, *Dialogi*, *Poetikon*, *Lirikon* and *Apokalipsa* magazines. In 2008 she won the Maribor poetry tournament and the 6th Ljubljana Poetry Slam. In September of 2008 her first poetry collection, *Rumeno gori grm forzicij* (Yellow Burns the Forsythia Bush), was published by Literatura and received the Best First Book award at the 24th Slovenian Book Fair. Her second book of poems is awaiting publication. She has read at the Vilenica and Days of Wine and Poetry festivals in Slovenia, Struga Poetry Evenings (Macedonia), Days and Nights of Literature (Neptun, Romania), Trieste Poetry Festival (Italy), PordenoneLegge (Italy), Cuisle Limerick City International Poetry Festival (Ireland), Pontepoetica and Poetas di(n)versos in Galicia, Spain, and Marché de la Poésie in Paris. Her poems have been translated into German, Italian, French, Croatian, Serbian, Galician, Dutch, and English. As a translator, she has published selected poems by Louise Glück, Denise Levertov, and Ciaran O'Driscoll, and essays by and Ursula K. Le Guin. Her interest as a translator is contemporary and 20th century. North American and Irish poetry. She is the founder of Kentaver Arts and Literature Society and runs the monthly poetry reading series *Mlade rime*, as well as the annual poetry festival with the same name hosted at Metelkova Autonomous Zone in Ljubljana. She also edits the poetry book series at Kentaver. Her other vocation is medicine.

Veronika Dintinjana

Abeceda znamenj

Levi na pročelju katedrale

Tretjerazredni marmor so načeli dež,
mraz in vročina; podobni so
vrhovom valov, za hip
privzamejo obliko
in že se razpustijo
v peno.

Smehljajo se.

Morda vejo, da kopnijo.

Sv. Frančišek

rasti v nebo,
dokler ne postaneš drevo

poln prebranega dežja in prhke zemlje

kaj ti more veter,
ko se odeneš v cvetje?

neponovljivost je tvoje žezlo

ne zlato ne srebro
nista dala telesa
za mizo, za posteljo

in ko pospijo ptice v tvoji krošnji,
se ne premakneš več

abecedo znamenj zamenja molčanje

Oranževac pred hišo je v zenitu

Poslušam odsotnost vetra med listi
in neobljudeno popoldne.

Zaradi treh stvari puščam polkna priprta,
zaradi štirih zapiram vrata.

Zaradi lune, ki razbeljena zacvrči, ko jo kovač potopi v vedro.
Zaradi jutra, ki prebledi, ko ga v obraz pogleda sonce.
Zaradi dneva, ki zardi v noč, in zaradi praga,
namesto stopinj ga bodo obrusili cvetovi.

Trije se dvigajo v nebo,
štirje so šli brez najmanjšega šuma.

Šla je gorilna nitka v žarnici,
iz glave mi je ušla prekinjena vrstica.
Skozi priprto okno se je pririnil hlad
in za mizo si je prostor našla večerja.

Štirih stvari ne morem dojeti,
treh ne pozabiti.

Oblega kamna na obali, kot otroka me je naučil
razlikovati levo in desno koleno, levo in desno stran ceste.
Bolečine, ki je bila vseobsegajoča in je minila hip zatem.
Ljubeznivega morja, vsako noč ga sanjam, čaka me pred vrati.
Podnevi pošilja galebe in druge sle po odgovor.

In drevesa, ki zahaja nad svetom.
Ni moč videti, kdo se vrti okoli koga.

Po dolžini sence določamo smeri neba.
Po dolžini korakov, katera ura noči je.

Sprehod po Lipici ponoči

Šepetam, *Herr, es ist Zeit.*

Javor odgovarja s šelestom, pesek se drobi pod koraki.
Noč, delno oblačna, na zahodu ostanki zarje,
soj izpušnih plinov, meglica,
prhanje v konjušnici, konj v ogradi se prestopi,
prdne, kar odmeva v noč,
hotel je napol prazen, gosti spijo,
konji spijo stoje. Nekaj jih bedi,
šepetam, da se ne bi zbali neznanih korakov,
čas se je ustavil, ure so se sprijele v noč
brez mesečine, svetilk, nekaj svetlobe
prihaja od hotela, premalo, pogled mora seči skozi mrak,
oko se privadi, telo posluša. Med sencami
beli konji, najsvetlejša telesa poleg zvezd.
Čuti se hlad, vonj po konjskem gnoju,
jesen po poletju. Bršljan zajeda javor,
bori utirajo pot hrastu, hrast izpodriva bore,
življenje žre življenje, tako mora biti:

razumeti sosledje prehodov,
svoje mesto v njem, presega človeški delež.

Naravnost srca je vse, kar premoremo.

Svet se oblikuje v odprtinah telesa,
pod streho vek prenočim vratarje neslutelih minut.

Belec v ogradi se ozre k meni,
naslonjena na deblo kostanja ostanem
tako celo večnost. Oblak nad nama

troši spore spokojnosti. Niti samota se ne zdi več neizbežna, žalost odpade, prehod je odprt, skozenj se pretaka nekaj trajnejšega od besed.

Blizu mestnih vrat

Ona druga Veronika gre ven
z mošnjičkom, polnim sestercev.

Jutro bo lepo, nebo brez oblčka,
trgovec ji bo ponudil sinjemoder kos svile
in volno po nižani ceni.

Rekla bosta nekaj besed o vremenu.
Da že dolgo ni deževalo
in kako je zdaj Cedron le kalna sraga vode,
ki se vleče po izpraznjeni strugi. Kako
je vse manj rib iz Galileje. In sol
vse dražja.

Vzela bo volno,
poletje bo suho, paša slaba
in mraz drugo zimo.
Nekaj žajblja in hren, za k mesu.
Merico mandljev,
olje za praznik. In platno.

Varnost bo poostrena. Na vsakem vogalu
vojak, nadzorna točka na vsakem trgu.

Pri mestnih vratih bodo stražarji
pregledali, vzeli v roke vse,
razen platna.

Lan, ojačan s konopljo
in obeljen s koreninicami milnice.

Dvojna širina, drobno tkan, ne za prt,
temveč za dve fini srajci.

Vzela bo tkanino in naredila z njo,
kot se ji bo zdelo prav.

Ko jo bodo vnuki vprašali, kako je bilo,
se bo spominjala vsega, tudi cene za meter blaga

in vonja pomladi.

rumeno gori grm forzij
čebele obirajo fižolove cvetove
popoldanska svetloba se cedi kakor med
prilepljen na vrtno klopco
stvarnik kadi nebo
in občuduje
socvetja divjih kostanjev

Ljudje so, vzeti z Breughlovih slik,
mirno kupovali špecerijo, se prerivali v vrsti
in podpisovali listke bančnih kartic.
Izvedela sem čez dva dni,
ko sem naključno brskala po netu,
za par sekund sem se spomnila nate,
ker ti Miłosz veliko pomeni
in si ga imela priložnost spoznati.
Potem se mi je mudilo
in nisem več mislila na to,
dokler nisva
kakšnih štirinajst dni kasneje
sedeli na kavču in sem ti mimogrede rekla:
»Veš, da je umrl?«
Prikimala si: »Odšel je zgodaj dopoldne.«
»Prav je imel. Jutra so najboljša,
če je pred tabo dolga pot.«
Knjiga, ki si mi jo kupila,
je bila njegova zadnja.
Polna svetlobe, drobnih pesmi,
tako presojnih in preprostih.
Kakor bi bil že prej pripravil
vse, prezračil sobo, odprl polkna
in pustil balkon priprt za mačke.

Concierto de Aranjuez

*Bilo je poletje, zavito v zimski plašč dežja.
Bila je jesen zrelih fig in modre suše.*

Beli kamni so varovali speče vodnjake,
črne in sladke so se robidnice skrile v niše
suhih listov, prekritih s tanko plastjo prahu in soli,
gola pobočja so prerasli srebrni grmi
žajblja, oljke so imele zahodno stran
in skale pod stalnim pritiskom burje vzhodno,
neživo, belo površino meseca, ostrih robov
brez zaklona pred soncem.

V opoldanski vročini teče čas
samo še po žilah senc, nasičen z negibnostjo
živih bitij in zraka, zemlje in sonca. Nič
se ne more spremeniti, so govorili čuti,
a nisem verjela.

Z občutkom, da se spominjam
sedanjosti, ko še traja, da sem kakor glina,
kakor papir, nosilec sprememb,
sel in sporočilo hkrati. Moja DNK,
spominske celice v možganih,
povezave med njimi. Sporočilo,
ki se samouniči, ko ga poslušáš
do konca.

Goži na vročih kamnih niso nevarni.
Nevaren je samo strah, nepredvidna
naglica umika. In preveč sonca.

Če se ne vrnem, bodo oljke in trave,
robidnice, žajbljevi grmi in kače
enake, nespremenjene.

Če se vrnem, bodo tudi enake,
samo jaz ne bom in med nami bodo
neubesedeni spomini okusov in vonjev.
Vsako uspešno prepoznavanje bo
vzrok za novo srečo. Ni se spremenilo,
vsaj to se ni spremenilo, v svojem bistvu je
ostalo enako, ker prepoznam te liste,
ker prepoznam močan vonj zelišč,
ker je morje še slano in kamen
bel in grob.

Ne isto, enako. In če ni,
je enaka vsaj sled
sprememb, zapis, da je bil čas
tudi tukaj, da se je ustavil med nami
in napravil presledek v svoji pisavi.

--

Legla sem na zemljo, bila je mrzla,
mirna, negibna, zaprla sem oči in čakala,
da se nalezem njene modrosti, nehati,
ko je čas, prepustiti se. Zaprla sem oči.
Utišala misli. Samo ušesa
so ostala prizemljena. Zvoki praznega polja
in moje dihanje. Nato nenaden zvok,
kakor bi veter premaknil liste v krošnjah,
kakor da so krošnje polne in je spet poletje.
Odprla sem oči. Nad mano jata ptic selivk,

slišala sem gibe kril v letu.
Nepričakovani zvok odhoda in sprememb
me je razgalil. Vstala sem
počasi, kakor bi mi dlani kril dale
videti, ob meni, nenadoma, prehod.

Vaja v avtomatskem dihanju

spet pišem
opoldne, ponoči, zjutraj
vaja v avtomatskem pisanju
nizanje misli in metafor
brez odgovornosti
brez ambicije trajati

pesmi brez obešencev
brez umrlih sorodnikov
brez dišeče kože ljubimcev
rož in grmov
oropane
in prazne

neuspeh poskus oživljanja
papir ne poka pod dlanmi
kakor rebra in prsnica
knjige po smrti ne zasmrديو
držijo se jih le prah in madeži
kave ali čaja

nihče ni nenadomestljiv
ponoči sanjam, zjutraj se mi razodene
pomen: trik ni v izjemnosti, bolj enostavno je:
biti nenadomestljiv za nekoga –
ni nujno Toskana, ni nujno poletje
niti ni nujno, da traja

to je najtežje, zato vadim
vsak dih sproti

Vravec, skoz bolnišnično okno

Videl sem smrt,
kako je prisedla na posteljo in si sezula copate.
Pritisk mu je padel,
obraz je postal bel, ko je legla.
Oči prestrašene.
Odletel sem ven. Ker nisem imel
deleža pri njegovem življenju,
je bilo edino prav, da nimam deleža
pri njegovi smrti.
Čez pol ure sem se vrnil
po krušne drobtine,
ki so ostale od kosila.

Απολογία

Ladje, naložene do zadnjega noža,
čakajo. Vsak dan zamude
stane bogastvo, najeti morilci
postajajo nestrpni, tresejo se jim roke,
ko gredo mimo neprerezani vratovi
miroljubnih meščanov. Ministri trepetajo,
da se vsa stvar ne obrne proti njim,
čeprav so načrti dobri, izračunani
do zadnjega kosa slanine natančno.

Nič strašnejšega ni: zjutraj
se namesto vetra dvigne sonce.

Obvisi na nebu, kot klada na klancu,
in nikjer sekire. Samo napeta vrv ne počí.
Sonce obsedi na sèncih,
krona vse močnejše stiska lobanjo.
Eno življenje je vse, kar ima vladar.

Oprosti, hčerka, toda potrebujemo veter,
in to nemudoma.

Musei Capitolini

Med poletom domov sedim ob oknu,
na drugi strani prehoda oče in sin,
oče mlad, star morda trideset, temnolas, lep,
sin star šest ali sedem let,
enakih las, polnejših lic;
igrata se, očka ga žgečka, poljublja
po licih, vratu, ramenih in rokah,
deček se smeje, med smehom
ga poljublja nazaj: »Contrattacco, babbo!«
Oče ga poboža po trebuhu – kolikšna nežnost,
kar si lahko delita le oče in sin,
o tej nežnosti tudi ženske nič ne vedo.
Tako lepa sta,
kakor kipi v kapitolskih muzejih,
izkopani z vrtov rimske vile,
gladki in sijoči, da bi se jih dotaknil,
bogovi, nimfe, živali,
popolni v svojem svetu,
NON TOCCARE! opozori varuhinja muzeja,
dotikanje uniči in umaže,
kar mora trajati.
Je mogoče čutiti do kipov tolikšno nežnost?
Roko očeta, ki ga ni
v Jupitrovem templju
ali nad oblaki,
čas se je tu ustavil
(jaz in knjiga, ki pravi, da poezija
ni imela najmanjše možnosti
ostati zunaj zgodovine).
Razpoke v kamnu,

ki jih zazna le budno oko.
Nekaj v meni, kar se ne more pomiriti
s preteklostjo, milina, kjer enako rani
zrak, ki jo obkroža
in preprečuje dotik,
muzej razbitin in ostankov,
relief očeta, ki poljublja sina.

Saskia

Naslikati to žensko, ženo,
njeno mehko kožo, njen vonj,
preden se umije po napornem dnevu,
kako puhti iz vseh pregibov,
kjer se deli telesa lepijo med sabo.
Način, kako si spne lase,
kako ji vsake toliko uide koder, kako
se nasmehne. Kako se ji tresejo
prsi v smehu, kako v ljubezni in kako po njej.
Kako speča ne sluti, da skiciraš njene odtise
v blazinah, njene gube, vse trenutke
majhnega življenja stisnjene
v bežen poljub snopa svetlobe s kožo.
Sledi donošenih otrok na njenem trebuhu,
sledi nedonošenih in prezgodaj vzetih k Bogu
v kotičkih njenih ust in oči,
v ostrini, v odmaknjenosti izraza
tik pred zoro ali ko se spet končuje dan
in dobi žalost neprebojen, mrzel lesk jekla.
Slikati, kar je pred tabo, tudi njo,
ki te ni zapustila, še. Dokler vaju smrt ne loči.
Razumeš, kaj je treba? Skozi to, kar imaš,
skozi *golo vulgarno deskriptivnost*,
hvali svojo ženo, hvali spretnost svojih rok
in svetlobo. Hvali tudi temo in sence,
zaradi njih postane platno slika.
Zaradi njih postane čas življenje.
Sleherna ura in gib čopiča sta le posojena,
pripadata gospodarju svetlobe in sence,
vidnih in nevidnih stvari.

Prav je, da ob vsaki uri dneva
brez odlašanja vzameš v roko svinčnik
in z mrežo črt rastočih na papirju
pričaš o svetlobi onkraj časa,
o podobah tostran senc.

OD WYDAWCY

Niniejszy wybór wierszy zawiera utwory pochodzące z tomiku *Rumeno gori grm forzicij* (Żółto płonie krzak forsycji, 2008) oraz utwory wcześniej niepublikowane (*Απολογία, Musei Capitolini, Saskia*):

Lwy na fasadzie katedry 5 Cathedral Lions 29 Levi na pročelju katedralne 53

Św. Franciszek 6 St. Francis 30 Sv. Frančišek 54

Pomarańcza rozkwitła przed domem 7 The Orange Tree in Front of the House Is in the Zenith 31 Oranževac pred hišo je v zenitu 55

Spacer po Lipicy nocą 9 Walking in Lipica at Night 33 Sprehod po Lipici ponoči 57

Blisko bramy miejskiej 11 Near the City Gate 35 Blizu mestnih vrat 59

*** [żółto płonie krzak forsycji] 13 *** [yellow burns forsythia bush] 37 *** [rumeno gori grm forzicij] 61

*** [Ludzie, wzięci z obrazów Breughla] 14 *** [As in Bruegel's paintings, people] 38 *** [Ljudje so, vzeti z Breughlovih slik] 62

Concierto de Aranjuez 15 Concierto de Aranjuez 39 Concierto de Aranjuez 63

Ćwiczenie z automatycznego oddychania 18 Exercise in Automatic Breathing 42 Vaja v avtomatskem dihanju 66

Wróbel, przez szpitalne okno 19 Sparrow, Through a Hospital Window 43 Vrabec, skozi bolnišnično okno 67

Απολογία 20 Απολογία 44 Απολογία 68

Musei Capitolini 21 Musei Capitolini 45 Musei Capitolini 69

Saskia 23 Saskia 47 Saskia 71

SERIA: Versopolis

KOORDYNACJA: Piotr Mielcarek

REDAKCJA I KOREKTA: Tadeusz Dąbrowski

TEŁMACZENIE TEKSTU O AUTORZE: Agata Teperek

PROJEKT OKŁADKI, PROJEKT TYPOGRAFICZNY I SKŁAD: Tomasz
Pawluczuk Nylon Studio

DRUK I OPRAWA: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN im. Stanisława
Kulczyńskiego Sp. z o.o.

© Veronika Dintinjana

© for the Polish translation by Joanna Pomorska

Instytut Kultury Miejskiej

Długi Targ 39/40

80-830 Gdańsk

www.ikm.gda.pl

www.europejskipoetawolnosci.pl

www.versopolis.com



instytut
kultury
miejskiej



VERSOPOLIS
where
poetry
lives



With the support of the
Creative Europe Programme
of the European Union

Projekt realizowany przy wsparciu Unii Europejskiej w ramach Programu Kreatywna Europa. Niniejsza publikacja wyraża wyłącznie poglądy i opinie jej autora, Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek użycie informacji w niej zawartych.

ISBN: 978-83-64610-54-7

Versopolis to założona w grudniu 2014 roku platforma literacka poświęcona poezji. Jej celem jest wspieranie młodych europejskich twórców i promocja ich dorobku poza granicami ojczystych krajów. W skład platformy wchodzi 13 festiwali literackich, w tym Międzynarodowy Festiwal Literatury Europejski Poeta Wolności, organizowany przez Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku.

INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ
GDAŃSK 2016

Paula Bozalongo
Goran Čolakhodžić
Veronika Dintinjana
Jonathan Edwards
Gjoko Zdraveski



ISBN: 978-83-64610-54-7